

# NOWINY Y GODNIA

SOBOTA  
Nr 24 (368)  
29. VI. 1957 r.

DODATEK SPOŁECZNO-KULTURALNY „NOWIN RZESZOWSKICH”

Krystyna Świerczewska

## MATURA BEZ ANEGDOT

**N**ajważniejsze - to czy młodzi zdają matury zdając sobie równocześnie sprawę z własnej dojrzałości. Jeżeli nie zachodzi podobne zjawisko, to matury ciągle jeszcze mają osiągnięcia poniżej minimum. Bo nie wyobrażam sobie egzaminu, a raczej może słuszniej byłoby powiedzieć, przesadzam jego wartość, kiedy człowiek za parę godzin promowany na osobę samodzielną, mającą myśleć o sobie, szuka ścieżek nieoficjalnych, przygotowuje kilogramy papierków i świstków, na których z trudem godnym Tytana, przez parę tygodni wpisuje „odpowiedź zasadniczą” na maturalne pytania. Odpowiedź taka przeważnie składa się z kilku zdań i należy ją przy egzaminie z całą swadą i elokwencją pogłębić odpowiednią ilością przyszłowiowego wodolejstwa i własnego sprytu. Karafka i zielone sukno najczęściej wpływa ją hamująco na elokwencję i na spryt. Wtedy kłapa, pozostawiająca jedynie nadzieję, że profesor wyciągnie za uszy.

Mówić o tegorocznych maturach bynajmniej nie jest rzeczą łatwą. Jedno, przed czym można się z góry zastępczo, i jak to już sugeruje tytuł - nie będzie mowy o anegdotach. Nie wyklucza to przecież faktu ich istnienia - nie. Jestem więcej niż pewna, że zdarzyły się i w tym roku humorystyczne dziwostki, ale to nie powód do radości. A smutnego uśmiechu ma my już dosyć.

Wtedy, kiedy oczyszcili się szkołę z całego balastu pseudosocjalistycznych ulepszeń, które przez ładnych kilka czy kilkanaście lat miały miejsce, wtedy możemy rozprawić wesoło o sporadycznych wypadkach „przeinaczeń”. Dziś z powodu ich powszechności, wydaje mi się, że raczej trzeba zamilknąć.

Na wstępie trochę cyfr z rzeszowskiego podwórka, które ułatwią na pewno rozważania nad tegorocznymi egzaminami dojrzałości. Na 2771 uczniach klas XI nie dopuszczono do matury 120, z tego egzamin pisemny złożyło 2549, a egzamin ustny 2419. - Ogółem nie złożyło egzaminu maturalnego 352 uczniów, co stanowi 12,7 proc. W porównaniu z ubiegłym rokiem liczba „odpadu” zwiększyła się za ledwie o 1,5 proc.

Czy to jest dobrze, czy źle, że jest tak niewielki procent „obłanych” w stosunku do ze sztorocznej matury? I tak, i nie. Gdybyśmy byli optymistami, świadczyłoby to dobrze o maturze roku 1957. Znaczyliby, że młodzi i tak i tak i nie. Gdybyśmy byli optymistami, świadczyłoby to dobrze o maturze roku 1957. Znaczyliby, że młodzi i tak i tak i nie. Gdybyśmy byli optymistami, świadczyłoby to dobrze o maturze roku 1957. Znaczyliby, że młodzi i tak i tak i nie.

wali młodzi, młodzi zrozumiała powagę wydarzenia! przez to wzrosł poziom wiedzy maturalnej.

Niesłoty, tak nie jest we wszystkich przypadkach i chyba dużo wody upłynie zanim będziemy mogli postawić maturę taką budującą ocenę. Ostatni rok szkolny był rokiem jakiegoś odbrazowania programów szkolnych, przywrócenia prawdziwej i konkretności miejsca. Jest rzeczą zrozumiałą, że nie był to rok łatwy tak dla ucznia, jak i dla nauczyciela. Pamiętajmy przy tym o jednym, że obalanie starych mitów i wiary w stare autorytety ma w sobie zawsze jakiś ładunek sceptycyzmu i wątpliwości wobec nowych prawd. Mimo że wszyscy w pełni zdają sobie sprawę z wielkości, a zarazem ważności tego rodzaju przemian, to „stare”, mając wiele lat za sobą, zdążyło się mocno zakorzenić. Niemożliwość to do przyjęcia fakt, by w ciągu roku można było przeprowadzić odnowę szkoły, pozabawić jej wszystkich niełogizmości.

Długo będą mściły się błędy zasady nauczania i metody nauczania. Święta i nie naruszalna była zasada, że materiał należy wykuć, z uwzględnieniem kropki i przecinka, na pamięć. Co gorsza, że ta zasada stała się zasadą powszechną, obowiązującą nie tylko w szkole średniej ale i na uniwersytetach, gdzie, choćby dla przykładowości, profesor dyktował wykład i sam się rumienił, kiedy rzucał po cichu: kropka, proszę państwa. A chłopcy pod wążem stawali zamasytą kropkę i zamykały zeszyty, nie zaglądając nawet do książek. Normalnym zda się to, że za rok z takiego wykładu w głowach przeciętnie uzdolnionych nie pozostawało nic. Per analogiam! w głowach maturzystów nie powinno zatrzymać się dłużej niż przez okres jednego roku. Taka zasada nauczania wykluczała jakkolwiek możliwość dociekania i rozumowania własnych. Materiał był tak przystępnie i w takich ilościach preparowany, że wystarczało go wkuć i na tym kończyła się rola ucznia. Do anegdot można by było włożyć ten fakt, gdyby nie był on zbyt często prawdziwy, kiedy znalazł się profesor odważniejszy i rzucał pytanie nie objęte rejestrtem pytań maturalnych, a uczeń odpowiadał: „panie profesorze, to pomyłka, takiego pytania się nie przewiduje”. Całe nie-szczęście, że takich odpowiedzi też się nie przewidywało.

O metodzie samej lepiej nie wspominać. Zaprzepaszczanie psychologii, jako jednej z najważniejszych pomocniczych metod nauczania, nie do

dziś tylko będzie się mściło. Kiedy dołożymy do tego galimatiasu nasze sławetne programy szkolne, które ku wielkiej radości nauczycieli już do końca tego roku szkolnego mają ulec gruntownym zmianom - oto obrazek typu: dzisiejsza szkoła.

Przygotowuje się nowe podręczniki szkolne, których brak zwłaszcza w ostatnim roku szczególnie dawał się we znaki historykom i polonistom. Będą one zapewne dużo lepsze i bardziej przystosowane do wieku już z uwzględnieniem psychologicznych przesłanek. Ale zachodzi pytanie, czy w ciągu przyszłego roku wiedza zawarta w nich nie będzie podlewana pseudo-

(Ciąg dalszy na str. 2)

**N**a świętego Jerzego u nas święto. Węc trochę zaspaliśmy. Wstałem, a potem wyszedłem w pole, rozejrzeć się.

Ranek był ładny, nocą trochę deszczyk popadał, ziemia zwilżona, trawa wyprana, powietrze czyste. Ciepły wietrzyk poruszał pękające listki na drzewach. Las już zaczynał zieleńić, a ziemia w lesie wródo zieleni przebliskuje białymi i żółtymi kwiatkami. Pola zorane na jarowiznę, czerniały, a żyto zieleńiąc wspaniało się w górę.

Wysoko skowronki ze wszystkich stron śpiewały jeden przez drugiego, a w lesie rozbudzone już ptaszki ćwierkały na różne głosy. Wszystko to okrywało błękitne, spokojne niebo. Z jednej strony świeciło wschodzące słońce, z drugiej - zachodzący, okrągły, wyblady księżyc: trwali naprzeciw siebie dziwiąc się wystrojonej ziemi.

Rozejrzałem się, nacieszyłem, po czym poszedłem nakarmić konie i opatrzyć bydło. Idąc do domu jeszcze się rozglądam... a tu w brzoziaku kukulka - kuku, kuku - kuka.

No - powiedziałem sobie - nie pamiętam takiej wczesnej wiosny, żeby na św. Jerzego kukulka zakukała... Jeżeli tego roku Pan Bóg dobry rok da, to będzie urodzaj... - A ty co dasz Panu Bogu? - spytała żona wychodząc ze świrna z ogromnym serem w ręku.

- Cóż ja, mały pyłek, mogę dać? - odpowiedziałem.

Na widok sera ucieszyłem się. „Daj Boże zdrowie”, pomyślałem, zrobi pierogów na św. Jerzego; jeszcze w tym roku ani razu ich nie gotowałem. I nie chcąc płać się pod nogami kobietom przy takim dużym gotowaniu, jeszcze troszkę nacieszyłem się pogodą i wlałem z powrotem do łóżka.

Kiedy obudzili mnie na śniadanie, wyskoczyłem z pościeli, myję się, a wciąż mi pierogi w głowie. Naleli botwinki - jem, jakby nigdy nic; ale ostrożnie, żeby zostawić miejsce na pierogi. Wnoszą krupik, ledwie siwy.

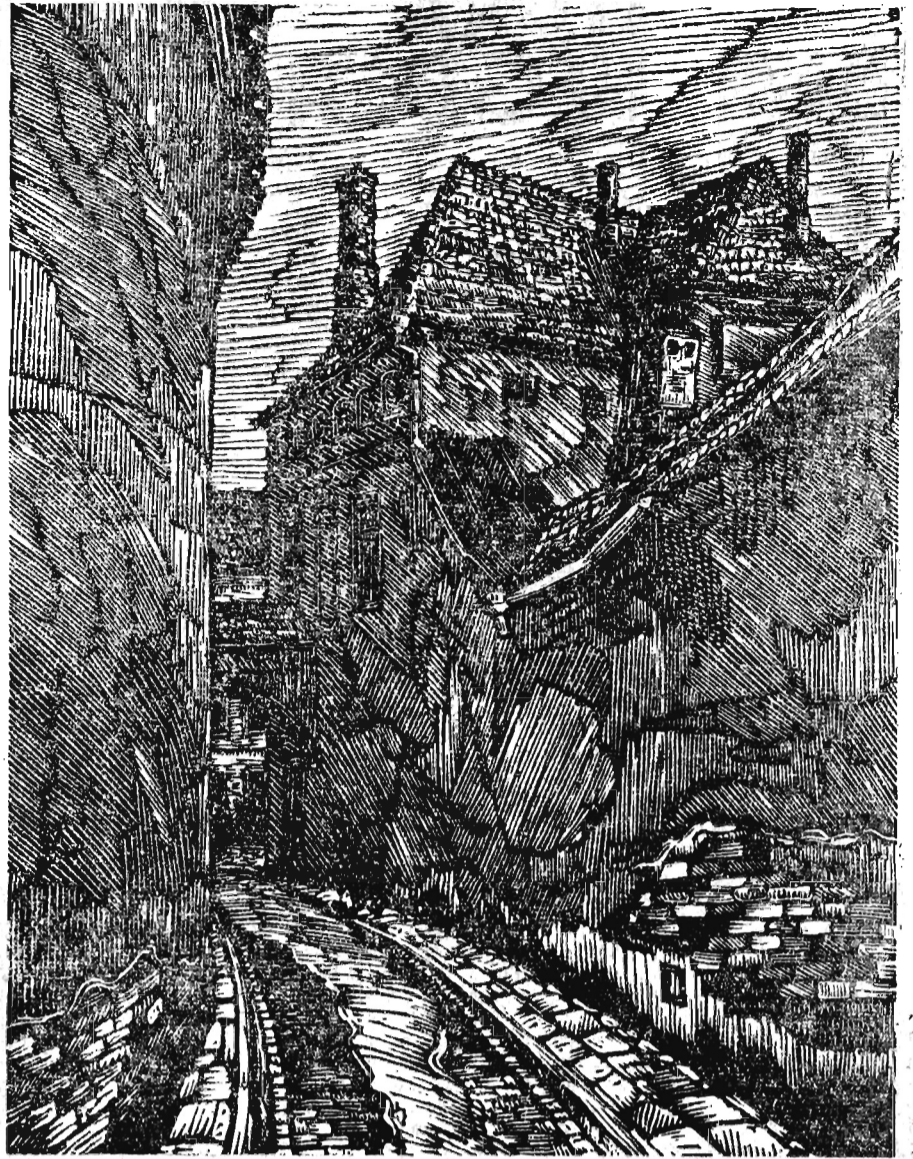
No, myślę sobie, tu już nie będzie milczał:

- A gdzie pierogi? - pytam patrząc niewinnie na żonę.

- Przyśniło ci się coś czy majaczysz? - odcięła się połowica. - Zupy zabielić uczciwie nie ma czym - a ty chcesz pierogi!

- Widziałem przecież dziś rano, niosłaś ze świrna ser...

Z PLASTYKI LITEWSKIEJ



V. JURKUNAS - Wilno, zaulek Pilies (drzeworyt)

„Zemaitie” \*

## OFIARY \* ŚW. \* JERZEGO

- To ser św. Jerzemu na ofiarę. Ledwie, ledwie z wielkim trudem go zrobili... tak krowy mleka mało dały...

- Widzieliście, moja serdenka ofiary robi - odezwałem się już zły - krupnik ledwie siwy, botwinka taka, że niebo przez nią widać... a jej... widziacie, ofiary w głowie. Zerknałem na żonę, patrząc, a ta czerwona jak indyk. Chłopcy ze śmiechu łzyki gryzą. Ugryzłem się w język.

Jak nie znacznie połowica terkotała: - Widziacie go! Heretyk! Żeby to Żyd, Niemiec albo Moskał tak gadał... czy ty byda nie masz? Krowy i kłaczki... A nie - dasz św. Jerzemu, to już po żywiole - możesz czekać na nieszczęście... Kurczaki, prosięta, gęsi - wszystko, co żywe, trzeba pod opiekę św. Jerzemu oddać... Casy świat oddaje. W głowie ci się pewnie przewróciło... a ja to niby z wielkiego bogactwa daję? Krowy mleko zgubiły, inne jeszcze jałowe. Ale co trzeba, to trzeba, choć z ostatniego... Jeszcze i jaj trzeba będzie zawieźć... A wy nie śpijcie po jedzeniu - zabrała się do chłopaków - przygotowujecie brykę, zaprzęgnijcie konie, zaraz jedziemy...

Siedziałem z nosem opuszczonym na kwintę. Po wyjściu chłopaków żona wypaliła mi długie i żalostne kazanie, że zły przykład daje i że przewracam rodzinie w głowie. Gęba przyrzekłem nigdy nie mówić, ale na sercu wciąż mi ten ser leżał. Wyjeżdżając widziałem jak połowica zawinęła go w białą chusteczkę, taki ładny, żółty, duży, aż mi ślinka pociekła, nie odważyłem się nic powiedzieć. Pożalowałem tylko w głębi duszy, że nie jestem św. Jerzym, bo byłbym ugryzł ser-

rek od końca. Jadąc wciąż rozmyślałem, jak ten ser uratować przed św. Jerzym. Długo się namyślałem, no i postanowiłem spróbować; nachyliłem się do żony i mówię:

- W niedzielę twój brat, Kazimierz, dowiadywał się o ciebie; mówił, że oni mu się za toba, chciałby cię zobaczyć... pewnie dziś u nas będzie... Jak się spotkamy, wiadomo, na piwo trzeba zaprosić, a ty nie masz zakąski... zapomniałem ci w domu powiedzieć... Gdybyś tak przeciągnęła z tym serem do końca i nie oddała, po wszystkim... uszanowalibyśmy twego brata i sami byśmy się pożywił... taki ładny ser.

Duren! - odparła połowica, splunęła i wruszyła ramionami. - Mówisz jak pastuch!... Ładny ser!... A na ofiarę bo niby jaki mam dać, taki co ci z nosa spadł?...

Trach, jak nożem ucięła, gęby nie ma co dalej otwierać. Cóż zrobić?

W kościele patrząc, baby niosą zawiniątko wyciągnięte przed siebie, niosą do kratki, do której między ludźmi przez cały kościół przebiegają robione. Baby z zawiniątkami, mężczyźni z rękami w kieszeniach chodzą po tej ścieżce. Jedni niosą ofiary, drudzy już oddali i wracają. Leżę i ja, razem z innymi tą ścieżką w stronę kraty. Podszedłem bliżej, stanąłem z boczku i patrząc - przy samej kratce, z tamtej strony siedzi dziad ze szpitalnika; stary, siwy, z nosem jak kartofel, krótko podstrzyżonym wąsem i sterzącą czupryną, w białej, prostej komży i z otwartej książki do nabożeństwa półgłosem sylabizuje. Obok niego złożony stos serów i kosz na parę pudów,

naładowany jajkami; na kratkach taca z pieniędzmi i męka pańska stoi.

Człowiek przynosi miedziaka i dzyń, rzuca na tacę. A szpitalnik patrzając na swoją książkę podsuwa mu pod nos mękę pańską. Ten pocałuje i wraca. Jeden za drugim pieniądze miedziane i srebrne na tacę rzucają, dzyń, dzyń, dzyń!

Jeżeli któremu szpitalnik nie zdążył męki podsunąć to sam sobie ją bierze i całuje.

Baby zaś leżą gęślego: jedna z odkrytym, druga ze schowanym pod chustką zawiniątkiem; przyniesie, uklęknie, po daje szpitalnikowi; ten wkłada jajka do kosza, oddaje chusteczkę i mękę pańską podsuwa. Niektóre, żeby było prędzej, przysuwają się do kratki i same wyladują swoje zawiniątko, potem na kłęczkach mękę całują i odchodzą.

Patrząc - i moja połowica, szast, praś, położyła ser, oddała jajka i pocałowała mękę pańską, odsunęła się na bok.

- Masz ci babo placek. Nie ma sera! - aż parsknąłem ze złości. - Poczekaj - pomyślałem - na odpuszcie będziesz chciała coś kupić, ani szklanczki piwa ci nie postawię, ani się obejrzyj, jak ci czmychnę po tym wszystkim... A piwo sam wypiję...

Patrząc dalej; rzucają pieniądze gospodarze, którzy mają konie, woły, krowy - im; potrzebny św. Jerzy, żeby była wilki nie zarznieły.

Rzucają i najemnicy, pastuchy i wyrostki, którzy w swoim życiu ani chrabąszcza nie mieli, chyba za kornierzem... I ci przynoszą, rzucają, choć po kopiejce, bo tylko tyle mają.

Patrząc, Dubulis wyciąga półrublowkę i dzyń, kładzie na tacę. Co tobie św. Jerzy będzie pasł, kiedy wczorajszej nocy złodziej ci wprowadził ostatnią kłęczkę? Policję po stawili na nogi, despeze porozysyłał i nawet ołowika wynajął, aby po jarmarkach jeździł, a wszystko bez pieniędzy. A teraz św. Jerzemu pół rubla rzuca. Pewnie udało mu się gdzieś pożyczyc? I modli się, że

(Ciąg dalszy na str. 2)

\* Zemaitie („Zmudzińska”) - Julia Zymontienė jedna z najwybitniejszych pisarek litewskich z początku b. wieku. W książkach swych daje obraz wsi litewskiej, przy czym szczególnie żywo zamaluje ją los kobiety wiejskiej, jej ciężką, ponad siły często pracę. Najlepsze z jej książek to „Marti” („Synowa”), „Topyli” („Teofilik”) i „Retras Kurmalis”.

### W numerze:

- ST. WITOWSKI - Architektura po staremu
- M. ALEKSIEWICZ - Małopolska południowa pod władzą Celtów
- JOTGIEL - O nowej misji nauczycielskiej
- CO WIATR MIESIE
- DYSKUSJE - POLEMIKI
- NUMOR



# MATURA BEZ ANEGDOT

(Ciąg dalszy ze str. 1)

naukowymi teoriami podręczników starych lat? To jest zjawisko ze wszechmiar niepokojące.

Na tle tych niedomogów dzisiejszej szkoły dopiero można mówić o osiągnięciach i brakach matury tegorocznej.

W zasadzie podstawowymi przedmiotami egzaminów maturalnych stał się język polski, matematyka i historia. Tym przedmiotom należało by tu poświęcić trochę więcej uwagi.

Już w samej organizacji matur zaszyły dość poważne zmiany. Po raz pierwszy bowiem w tym roku tematy egzaminów pisemnych opracowane były przez Wojewódzki Wydział Oświaty, a nie jak do tej pory przez Ministerstwo. W ich ułożeniu treściowym daje się zauważyć także pewien plus. Jeżeli weźmie się pod uwagę język polski, przygotowano 6 tematów, z których nauczyciele wybrali jako „prawomocne” 3. Do tematów wybitnie nowych należy temat o Sienkiewiczu, który brzmiał mniej więcej tak: „Wartości moralne bohaterów Sienkiewicza”.

I cóż się okazało? Otóż większość abiturientów pisała o wszystkim, tylko nie o tychże wartościach moralnych. Przede wszystkim szło streszczenie utworu (w czym należy widzieć poprawę, bo przynajmniej młodzież je przeczytała) rozwijanie akcji, „socjologizowanie”, a na temat albo nie było nic, albo zdarzało się parę zdań, ogólnikowych, nic nie mówiących. Dołożył do tego jeszcze liczbę uczniów, którzy wybrali ten temat, wahając się w granicach 1/4 całości, plynie wniosek jasny, że temat nowy, trudny i nie rozumiany.

Czym można tłumaczyć tę niechęć do Sienkiewicza? Tylko i wyłącznie brakiem odpowiedniej interpretacji, bo przecież jest to jeden z wielu pisarzy, których młodzież chętnie czyta, nawet jako lekturę obowiązkową.

Drugim ciekawym zjawiskiem była niechęć do tematyki współczesnej, ewentualnie do literatury międzywojennej. „Związek literatury międzywojennej z życiem”, bo tak sprecyzowano ten temat, też wymagał odpowiedniego przygotowania, tym razem już historycznego. A z tą historią 20-lecia to ciągle nie wiadomo.

Rezultat? Młodzież z pasją rzuciła się na Krasickiego, Oświecenie i Odrodzenie. Zawsze to pewniejsze i nie wymaga żadnych historycznych interpretacji. Nie znaczy to jednak, że temat ten był opracowany niemiernie przez ogół. Młodzież do dziś dnia nie potrafił uchwycić istoty zagadnienia, a wartości artystyczno-poznawcze (pojęcia zawarte w pytaniu) są dla niej domeną zakazaną. Związka to artystyczne. W języku polskim przede wszystkim brak własnego rozumowania, jakiś stary schematyzm, ubogi słownik i styl. Jedyną poprawę, z gatunku tych większych, jaką zauważono, to dużo staranniejsza ortografia niż w innych latach. Nie zdarzają się już prawie wcale jakiegóżby błędy typu podstawowego. Ta sama sprawa jest z historią. Tu zasada preparowania faktów do z góry założonych tez, postać najwięcej zamętu. Tu widać przede wszystkim brak odpowiedniego podręcznika i wyłazi niesystematyczna ciągłość światopoglądowa. Uczeń odpowiadający z pytań ogólnych, które wymagały analizy historycznej kilku wieków, aż do czasów współczesnych, odpowiadał bardzo dokładnie, przedstawiał fakty szczegółowo, ale... tylko do pewnego okresu. Hamował go dopiero w wypowiedzi rok 1918. Zgrabnie przesiłgiwał się po 20-leciu i okupacji, kilkoma zdaniem, by móc na nowo rozwinąć swą elokwencję o roku 1945. Przeważnie miało

to mniej więcej taki wydźwięk: było bardzo źle, a dziś jest bardzo dobrze.

Co ciekawsze, że zamęt historyczny daje się zauważyć także i u nauczycieli. Niepewność w interpretacji, lub wygodne omijanie zbyt trudnej oceny faktów — mimo że nie nagminnie miało miejsce. Moim skromnym zdaniem, taki stan rzeczy, wymaga co najmniej paru lat, by można było mówić spokojnie o rzetelnej wiedzy.

Trochę lepiej wyglądała sprawa matematyki, która w tym roku była dużo uczciwiej przygotowana. Obawiając się tutaj przede wszystkim niesamodzielności, Wydział Oświaty celowo przygotował pytania łatwiejsze. Stojąc na stanowisku, że lepiej dać zadanie bardziej przystępne, byle by było wykonane bez współudziału towarzyszy niedoli, postąpił słusznie.

Dość poważnym problemem, nad którym warto byłoby się zastanowić dłużej jest wybór czwartego przedmiotu. Obejmuje on dobrowolnie, decyzyjnie pozostawiając uczniowi. Spełniać on powinien rolę przedmiotu szczególnie zainteresowań danego ucznia, a nie zawsze tak jest w praktyce. Każdy uczeń ma przecież swoje kryterium w wyborze czwartego przedmiotu. Jeden będzie kierował się dobrą znajomością materiału, drugi obierze go zgodnie z kierunkiem studiów — i wtedy to chyba dobrze. Gorzej się przedstawia sprawa, kiedy gros uczniów kieruje się liberalizmem profesora. „Ten dobrze pyta, nie stawia dwóch, no to pójdę do niego”. Jeżeli profesor jest domyślny, to w porę potrafi przykroć marzenia, sprowadzając na ziemię dwójka. Jeżeli jest inaczej, to czwarty przedmiot „upiekie się”, jak to popularnie nazywają maturzyści. Wojewódzki Wydział Oświaty przewiduje, że ta forma wolnego wyboru utrzyma się jeszcze przez parę lat, dlatego też, moim zdaniem, warto by rozwinąć w tym wypadku szerszą dyskusję.

Niepokojące jest jeszcze jedno zjawisko, na które wnikliwie zwrócić uwagę przede wszystkim właśnie Wydział Oświaty. Otóż wielu nauczycieli jeszcze i dziś patrzy przez palce na egzamin. Po części rozumiemy ten liberalizm. Bo przecież każdy zdaje się sobie sprawę z różnicy między poziomem szkoły w Lesku, gdzie nie złożyło egzaminu 45 proc. uczniów (największy procent w województwie), a powiedzmy szkoła w Rzeszowie, w której nie znajdzie się jakichś naleciałości gwarowych, które pomagają jeszcze wychowanie do mowy. Niemniej w szkołach o słabym poziomie nauczania nie daje się zauważyć jakiegóżby szczególnie wielkiego procentu pozostających na drugi rok. I to chyba jest konieczne, by ostryżać wymagania i przestrzegać regulaminu egzaminów maturalnych.

W sprawozdaniach nauczycielskich o tegorocznych maturach jeszcze przewija się przynębienie. Mimo że uczniowie w tym roku w ogóle jakiegoś sumienniejszego przygotowania, choćby przez to, że wolała nie mówić głupstw o rzeczach niezbyt jasno zinterpretowanych, że zaczynają ce nie wymowę faktów, że zaczynają myśleć — to wszystko nie wygląda jeszcze dobrze.

Myślenie jest nieśmiałe, niejasne, wychodzi na jaw nieprzyzwyczajenie do niego. Trudności w zwalczaniu schematu i sloganu dają się mocno we znaki. Jedno jest jednak pozytywne — ten rok wykazał potrzebę zwalczania błędów i pozwolił otworzyć oczy przede wszystkim młodzieży na jej lekceważone dotąd obowiązki.

KRYSTYNA  
SWIERCZEWSKA

# Małopolska południowa pod władzą Celtów

Do najbardziej trudnych a zarazem spornych problemów w literaturze archeologicznej, dotyczących zasiedlenia terytorium Małopolski południowej, należy okres lateński, obejmujący lata od 400 przed naszą erą do 0, w którym południowa i środkowa Europa przeżywała ciężkie chwile najazdu wojennego ludu celtyckiego, niosącego ze sobą przerażenie, pożogę i śmierć.

Okres ekspansji Celtów trwający od roku 400 przed naszą erą zakończył się około 250 r. wypędzeniem ich z południa i z południowo-wschod-

nów nadbałtyckich naszymi przelęczkami karpaccimi. Celtowie kontynuując swą ekspansję na północ i północny-wschód docierają prawdopodobnie na teren Małopolski południowej.

Sprawa podboju dzisiejszej Małopolski stanowi do dnia dzisiejszego problem sporny. Część uczonych naszych z prof. Kostrzewskim, Tymienieckim, Sulimirskim, Rosen-Przeworską stoi na stanowisku, iż Celtowie dokonali podboju gospodarczego, „kulturalnego i politycznego, część zaś uczonych polskich i cze-

na terenie Małopolski, a nie w Czechosłowacji. Przypuszczalnie fakt podboju Małopolski południowej mógł mieć miejsce około III wieku p. n. e., a więc stosunkowo dość późno po najęździe na ziemie polskie Scytów, którzy w okresie halstańskim w swym zwycięskim pochodzie dotarli aż do Wielkopolski i na Śląsk niszcząc szereg grodów kultury turyckiej. Uderzenie Celtów na naszą ziemię mogło dokonać się w tym czasie, kiedy zostali oni zepchnięci z południa i szukając dogodnych terenów do osadnictwa, podążyli na północ.

Nasuwa się palące pytanie, jak długo mogła trwać na naszych terenach „okupacja” celtycka, która nie usunęła elementu autochtonicznego, jakim był element prasiłowiański, nauka bowiem dotychczas nie dała na to stanowczej odpowiedzi. Istnieją ślady z środkowego i późnego okresu lateńskiego w postaci cmentarzysk, o których była mowa, oraz luźne wykopaliska z terenu dzisiejszego województwa rzeszowskiego w postaci pięknej fibuli celtyckiej wykonanej z brązu z Przemyśla, fibul brązowych z Tyczyna pod Rzeszowem z okresu 500 kowo-lateńskiego, umba tarczy z okresu późnolateńskiego oraz wykopaliska z Kamienicy koło Żurawiczek w powiecie przeworskim i srebrnej głowy woju wydobyciej w Sanie.

Na istnienie handlu kierującego się na wschód, wskazują srebrne monety celtyckie, wykopane w Medyce obok Przemyśla, przedstawiające tetradrachmy srebrne nadsławskie monety Filipa II, króla macedońskiego, ze śladami próby mennicznej w postaci głębokich nacięć widocznych na reversie monet. Analizując materiał archeologiczny dochodzimy do wniosku, że tak ekspansja polityczna jak i gospodarcza kierowała się z terenów dzisiejszej Rusi Zakarpackiej i Słowaczyny drogą prowadzącą przez najbliższe przełęczki karpackie, stanowiące dogodną drogę handlową, znane nam już w poprzednich epokach, a to przez Przełęcz Łupkowską, wzdłuż koryta Oslawy, i następnie Sału do Przemyśla. Odgałęzieniem tego szlaku była droga skracająca ten szlak nadsławski, idąca od Dynowa poprzez Żurawiczki, Przeworsk do Jarosławia nad Sanem. Drugim dogodnym szlakiem był szlak prowadzący z południa przez leżąca Duklińską, a następnie Wsiłkiem do Sanu.

Za utrzymaniem naszej ziemi w rękę Celtów w okresie lateńskim przemawiają również nazwy rzek pochodzenia celtyckiego jak Ropa, Sola, Raba, Nida i inne.

Charakteryzując kulturę celtycką na naszych ziemiach należy podkreślić jej wysoki poziom, będący wynikiem sil-

nego rozwoju sił wytwórczych (np. produkcja żelaza przez zastosowanie wytopu w dy-markach, co spowodowało całkowite wyparcie z użycia brązu). W gospodarce rolnej zostały zastosowane ulepszone narzędzia żelazne w postaci ładlic żelaznych i półkosków szerokokabłkowych, przy pomocy których można już było ścinać zboże u dołu, a nie jak poprzednio tylko kłosa, dzięki czemu uzyskali Celtowie siomę dla ściółki oraz nawóz dla lepszej uprawy ziemi. Dzięki zastosowaniu radlic żelaznych zwiększono areal ziemi uprawnej, który powiększył się stale przez zastosowanie żelaznej siekiery przy trzebieży lasów. Zwiększenie produkcji zbóż, wśród których zaczyna już wchodzić i uprawa żyta, na co wskazują wykopaliska dokonane w Mogile pod Krakowem, spowodowało wprowadzenie w gospodarce domowej żaren obrotowych, a co za tym poszło, zwiększenie dobrobytu ludności.

W gospodarce domowej doszło również do rewolucyjnych zmian, dzięki wprowadzeniu w rzemiosło garncarskie koła garncarskiego, które zmehaniizowało pracę czło-wieka i dało szybką i tańszą produkcję ceramiczną.

Na naszym terenie w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej w Sędziszowie Młp. wykopano naczynie grafitowe z grubym dnem i ścianami, pochodzące z późnego okresu lateńskiego, które były używane prawdopodobnie przez miejscowego rzemieślnika — kowala, do wyrobu narzędzi.

Mimo upadku politycznego plemion celtyckich, jaki nastąpił z końcem I wieku p. n. e. pod wpływem nacisku Rzymian oraz plemion germańskich Markomanów i Kwadów, idących od północnego zachodu wpływ ich działalności na gospodarce i kulturalnej nie zanika a ma dodatnie skutki, dzięki rewolucyjnym zmianom, jakie się dokonały w szeregu dziedzin życia gospodarczego.

Zmiany te utorały następnym pokoleniom słowiańskim w okresie rzymskim, drogę do wejścia na wyższy stopień rozwoju społecznego, na drogę tak zwanej demokracji wojennej.

MARIAN ALEKSIEWICZ



Monety celtyckie

dniej Europy oraz osiedleniem się ich w Europie środkowej. Już w latach 700 Celtowie zamieszkali obszary położone nad górnym Renem i Dunajem, skąd rozpoczęli podbój Europy w okresie halstańskim. Im to nauka przypisuje rozwój kultury lateńskiej. W latach od 400 do 250 przed naszą erą Celtowie opanowali m. in. prawdopodobnie południową Małopolskę.

Z chwilą zmiany warunków życiowych i trybu życia, Celtowie w tym okresie wysuwają na czoło zagadnienia gospodarcze i kulturalne. Wzrosło u nich zapotrzebowanie na surowce oraz dobrze rozwiniętą produkcję wyrobów rzemieślniczych. Rozwinięły się handel zewnętrzny i wewnętrzny, którego zabezpieczenie dawały wielkie grody obronne, znane nam z literatury rzymskiej jako „oppida”.

Obrzynie ilości wykopalisk celtyckich monet srebrnych i złotych w Benokowcach, Koszycach, Lewoczu, a na Rusi Zakarpackiej w Użhorodzie, Munkaczu, Kliczonowie, w Dracicach i Bucu świadczą o dobrze rozwiniętym handlu, w którym dużą rolę odgrywał bursztyn, sprowadzany z tere-

kich uważa, że Celtowie dokonali tylko podboju gospodarczego i kulturalnego Małopolski. Pogląd uczonych czeskich wobec nowych odkryć dokonanych w ostatnich latach np. w Podjeżu i w Wycłaju pod Krakowem (odkryto celtyckie ośrodki garncarskie, w których dokonywano wyrobu pięknej, białoczerwonej ceramiki), musi ulec rewizji. Prócz tego w okresie międzywojennym odkryto kilka cmentarzysk celtyckich np. w Iwanowicach w powiecie miechowskim, w Ryłowicach i Bloniu w powiecie sandomierskim, oraz na naszym terenie w Bielinach w pow. radomskim, i na Żeraniu pod Warszawą. Brak tylko jeszcze stwierdzenia na naszym terenie osadnictwa grodowego w postaci oppidów, wobec nieopracowania tego zagadnienia w literaturze, mo- że częściowo przemawiać przeciwko hipotezom podboju politycznego Małopolski przez Celtów.

Prof. Plezia badając przekazy Jordana, dotyczące grodu Novietunum, wskazuje na konieczność poszukiwania tegoż grodu

# OFIARY \* ŚW. \* JERZEGO

(Ciąg dalszy ze str. 1)

by św. Jerzy pomógł złodzieja złapać... A jeżeli złodziej też tu przyniósł i rzucił rubla św. Jerzemu, żeby pomógł dobrze schować ukradzione konie?... Złodziej może w innym kościele, albo i tu, obok Dubulisa stol? Nikt go nie zna — i ma z czego dawać, chociaż i tanio sprzeda kradzione konie; zawsze to łatwo zdobyta kopiczka... Co by wówczas święty Jerzy zrobił? Pewnie pomógłby temu, który więcej dał... I Dubulis pewnie tak myślał, nie miało dał...

Kiedy tak stałem, szpitalny dziedek z brzękiem zrzucił gdzieś pod siebie pieniądze z tacy — już z dużym czubem była — i pustą postawił z powrotem na kratki. Teraz głośnie dzwoniły rzucone monety. Może już kilka razy opróżniał tacę? Kto dostanie te pieniądze? Gdzie je podzieją?

Przyszło mi do głowy takie pytanie, kiedym tak stał i patrzył. Stos serów — tymi pożyłwi się rodzina proboszcza, będzie jadła, gotowała pierogi,

resztę wysuszy, nie zepsują się; ale jaja nie mogą długo leżeć a ich też cała góra.

Gdyby św. Jerzy usmażył jajecznicę z tych jaj, to wszystkich świętych ugościłby w niebie... Mówią, że w niebie jest tak samo jak i na ziemi... Ale rodzina proboszcza nie da rady zjeść tyle jajeczniczy przez miesiąc. Co z nimi zrobić?

Mówią, że na św. Jerzego, po wszystkich uroczystościach z ofiarowanych jaj smaży jajecznicę. Wszystkich dziadów szpitalnych, wszystkie służby kościelne i całą służbę czeladną z probostwa częstują. Oni, kiedy najedzą się, myślą, że wszystkie jajka zjedli. A nawet dziesiątej części nie ruszyli, czuba z góry nawet nie zdjąli. Potem gospodyni proboszcza wola wleczorem Orelenie, pokaże jajka w koszu i sprzeda hurtem, bo liczy że za dużo roboty. Trzeba cicho, skrycie, żeby ludzie nie zaczęli gadać!

— Ofiary sprzedaje, ofiary sprzedaje.

Orelenie po zapłaceniu jaja trzeciej części tego, co jaja warte, kiedy ściemnieje, przyprowadza handlarki i wynoszą koszami. Gospodyni wypuszcza je przez tylne wejście — czeladź nawet nie zauważy, gdzie się jaja podziały.

Zadzwonił na mszę.

Ludzie jeszcze szybciej znośli ofiary, a nawet pacierzy nie mogli odmawiać, wciąż takie myśli kręca mi się po głowie.

Zaczęła się msza, ludzie prze-

stali składać swoje dary, wszyscy modlą się i ja zacząłem od mawiać pacierz.

Jadę do domu, pytam swego parobczaka, który nas wiozł:

— Józuk, widziałem, że i ty rzuciłeś pieniądze św. Jerzemu na ofiarę. Na jaką intencję?

— Wszyscy rzucają — odparł Józuk — miałem pieniądze, to i rzuciłem... Ale nie na intencje! Tam gdzie i inni na tace.

Przełożyła A. Lau-Gniadowska







# ARCHITEKTURA w starym

Są paradoksy bardzo zaskakujące. Takim jest w życiu miast naszego województwa planowanie przestrzenne, a ściślej przewlekłe i oderwane od bieżących potrzeb opracowywanie planów urbanistycznych, które zamiast sięgać w przyszłość i ułatwiać życie — hamuje rozwój i wzrost naszych miast. Chociaż plany przestrzenne opracowuje się już od kilkunastu lat, to na skutek wzrostu różnych okoliczności w chwili obecnej są one pod wieloma względami już przestarzałe.

Ta dziedzina architektury jest bardzo ważna i trudna. I dlatego nie można się kierować skostniałymi, sztywnymi kanonami, nieraz pojętymi subiektywnie, gdyż przy fałszywie przyjętych założeniach plany takie mogą fatalnie zaciążyć na życiu i rozwoju niejednego miasta.

Szczególnie w okresie planu 6-letniego wiele miast naszego województwa, wierząc w skuteczność swoich przedsięwzięć, dla zapewnienia sobie rozwoju i postępu w rozbudowie, a zwłaszcza dla zyskania urzędów komunalnych — czyniło starania o zdobycie i zatwierdzenie planów zagospodarowania przestrzennego. Ściślej mówiąc, zamiast najbardziej zainteresowanych zarządów miejskich i miejskich rad narodowych, zleceńdawcą tych zadań były nie miasta, a wydziały budowlane przy prezydentach WRN. W ciągu kilku lat plany takie opracowywały osobne biura architektoniczne (pracownie urbanistyczne) np. w Krakowie. Praktyka wykazała, że prace nad planami urbanistycznymi, prowadzone przez Miastoprojekt Kraków, były oderwane od życia i mało pożyteczne.

Dlatego też ambicją Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie było, aby przy Prezydium utworzyć osobną pracownię urbanistyczną. Istotnie, przed kilkoma laty przy Woj. Zarządzie Architektoniczno-Budowlanym powstała taka pracownia, która przejęła zadania z terenu województwa rzeszowskiego. Zleceńdawcą tych zadań jest w chwili obecnej także sam Wojewódzki Zarząd Architektoniczno-Budowlany, który wcześniej — tylko nieco pod inną nazwą — był zleceńdawcą dla pracowni urbanistycznej w Krakowie. Całkowicie natomiast zapomniano, że właśnie zleceńdawcą jest prezydium odnośnej władzy narodowej, dla którego opracowuje się

plany urbanistyczne. W praktyce więc administracja budowlana, tzn. WZAB martwi się o interesy miast, bo w miastach przeczornie zlikwidowano architektów miejskich, pozostawiając ich tylko w miastach wydzielonych.

Architekt powiatowy, mający na głowie cały powiat, ma się m. in. troszczyć o sprawy budownictwa miejskiego i wiejskiego oraz o plany urbanistyczne. W rezultacie nie jest jednak w stanie wszystkiemu podolac. Przez to przede wszystkim leży odległym wiele pięknych spraw, gdyż ze strony zainteresowanych miast nie ma się kto o nie starać. Czeka więc Jasło już 12 lat na budowę dworca osobowego. Podobnie Krosno nie może doczekać się przystanku kolejowego, jak również lokalizacji targowicy miejskiej.

Za to urbanisci z WZAB na podstawie „danych obiektywnych” (z dziedziny fizjografii itp.) snują wizje urbanistyczne od kilku lat. Przy małym doświadczeniu życiowym i trudnych zadaniach praca idzie powoli.

Przedtem wszystkim dająca i przewidująca PKFG zmieniła wielokrotnie wskaźniki i planowała wzrost miast, czego posłusznie przestrzegali urbanisci. Niestety życie pokazało co innego; wiele z opracowanych planów nie może, a przynajmniej nie powinno być realizowanych.

Nic dziwnego, że urbanisci czując kruchość podstaw swego planowania — dłuższy czas bronił się przed dyskusją publiczną nad planami zagospodarowania przestrzennego miast.

Podczas zeszłorocznego, regionalnego pokazu architektury w Rzeszowie urbanistka była jeszcze obięta tajemnicą, dostępną tylko dla uprzywilejowanych. Nic dziwnego, że zemdliło się to na samych projektodawcach. Marzenia urbanistów o skomunalizowaniu obszaru miast — stały się mrzonką, zaś opracowane na

tej podstawie plany często zawisają w próżni.

Spróbuję udowodnić to na przykładzie planu przestrzennego Krosna. W tym to właśnie projekcie, opiewanym początkowo przez inż. Machnika z pracowni urbanistycznej w Krakowie, przejętym później przez inż. Zolyniaka z WZAB w Rzeszowie — wiele nie podoba się fachowcom i kompetentnym osobom z Krosna. Podczas ostatniej dyskusji nad tym planem uczestnicy jej wyrażali zdziwienie, że inż. Zolyniak przedstawił im taki plan, który już można uważać za nieaktualny pod wieloma względami. Dyskutancki mieli — niestety — dużo racji.

Głosy krytyczne pod adresem planu opracowanego przez „spółkę” urbanistów — inż. Machnika i inż. Zolyniaka były następujące. Dyskutancki pytali się, dlaczego miasto odsuwa się od zwiarcia wody, skoro w Rzeszowie postanowiono zbliżyć się do rzeki? Dlaczego w projekcie nie skorygowano koryta Wisłoka i przelecieło się Krosno pasem zieleni, zamiast wykorzystywać ten teren dla niskiej zabudowy, dla lokalizacji domków jednorodzinnych? Dlaczego nadal forsuje się likwidację istniejących ulic, nie bacząc na to, że posiadają kanalizację, sieć wodociągową i gazową, a natomiast projektuje się tworzenie nowych ulic przy olbrzymim nakładzie kosztów? Nie

zaprojektowano przejazdów przez tor do zakładów przemysłowych i przejechał przez tor w okolicy zakładów Inlarskich. Projekt przewiduje lokalizację przemysłu w jednej części miasta, zaś osiedli mieszkaniowych (niezależnie od istniejącego przy ul. Kolejowej) w odległości kilku kilometrów po przeciwnej stronie miasta. Dlaczego projektanci upierała się przy zamiarze wyburzenia niektórych dobrych budynków, jak np. łaźni? Dlaczego przewidziało się załadunek skrawek terenu na zabudowę indywidualną, a kompletnie pominięto problem rozmieszczenia rzemieślniczych punktów usługowych? Zapomina się od kilku lat o przyłączonej do Krosna dzielnicy Suchodół itp.

Zachodzi teraz pytanie, jaką rolę będzie odgrywał urbanista wobec kryzysu centralnego planowania urbanistycznego „zdalnie sterowanego”? Planowanie urbanistyczne w starym wydaniu nie zdaje już egzaminu i nie może znaleźć zastosowania w praktyce. Jeśli chodzi o względy natury estetycznej, to zostały one zamydlone przez zły sposób na to, że posiadają kanalizację, sieć wodociągową i gazową, a natomiast projektuje się tworzenie nowych ulic przy olbrzymim nakładzie kosztów? Nie

dowa ta połączona była jednak z olbrzymimi stratami, marnotrawstwem itd. Tandemnie wykonane klatki mało mają wspólnego z estetyką i wygodą, a jednak urbanisci bardzo lubią nimi „operować”, nienawidzą przy tym rozdrabniania się w budownictwie indywidualnym, które przecież zawsze przeważało w małych miastach.

Skoncentrowanie w biurach administracji budowlanej kwalifikowanych inżynierów-architektów oraz podporządkowanie pracowni urbanistycznej administracyjnie WZAB (a więc władzy zatwierdzającej plany), skupienie w ramach jednej komórki budowlanej równocześnie nadzoru, oceny i projektowania — stawia pod znakiem zapytania słusność koncepcji urbanistycznych obiektywności oceny i słusność wydawanych nakazów czy zakazów. Owe zakazy często idą po myśl nie interesów ogółu, a raczej, po linii osobistych ambicji i animozji głównego architekta czy

dufnego w nieomylnie zespołu projektantów. I trudno zgodzić się ze stanowiskiem niektórych urbanistów, że np. w wypadku Krosna „uzgadniać” wszystko z czynnikami miejskimi, skoro podczas wspomnianej dyskusji wysunięto aż tyle naraz i w większości słusznych zastrzeżeń.

Wniosek nasuwa się sam. Centralizowanie planowania urbanistycznego nie dało dobrych rezultatów. Podobnie jak dawne pracownie urbanistyczne, tak i obecna przy WZAB — nie wczuwa się w potrzeby zainteresowanych miast, bo nie projektuje na ich zlecenie. W miastach brak jest architektów, zaś w zbiorokracyzowanych pracowniach nie ma znajomości i zrozumienia dla potrzeb terenu. Słyszczący nad planami urbanistycznymi przejść do poszczególnych miast i tam zająć się na bieżąco sprawą realizacji dyktowanych przez życie zagadnień urbanistycznych.

Takie przeffancowanie urbanistów wyszłoby na korzyść nie tylko bezpośrednio zainteresowanym miastom, ale i samym urbanistom, którzy zamiast zęglować w obłokach — wylądowałyby na ziemi. Może wtedy plany urbanistyczne stałyby się naprawdę podstawą rozwoju miast i byłyby zgodne z interesem mieszkańców. W urbanistyce też trzeba zacząć tworzyć po nowemu.

STANISŁAW WITOWSKI

## Wirazu nie weźmie się nerwami

(Ciąg dalszy ze str. 3)

my wybitnych twórców żyjących i tych, którzy odeszli. Klasycy mówią nam wiele prawd starych, lecz zawsze aktualnych. Uczyc się od nich będzie można jeszcze długo.

Na koniec trochę słów o współczesności, o nawoływaniu do czytania „książki naszych czasów”.

Zaraz po Październiku rozprawiano wiele o tzw. „nowoczesności” w literaturze i sztuce. Nic nie pomogła wrzawa, termin ten splątał. Lubimy często utożsamiać nowoczesność z nędznym epigonizmem. Co awangarda, a co nie — najłatwiej można zawsze ocenić do piero z perspektywy. A Słonimski stwierdził ostatnio, że przed wojną mieliśmy sporo awangardystów, lecz rewolucjonistą był wśród nich rzeczywiście tylko Bruno Jasiński.

Współczesność to pojęcie szersze, jeżeli nie traktuje się go w sposób wąsko-programowy i nie szermuje nim w imię niu nie wiadomo kogo. Współczesność w literaturze nie może mierzyć ani wiekiem pisarzy, ani ich chęciami. Przez to samo, że ktoś pisze o sprawach bieżących — nie musi być jeszcze wcale współczesny — przekonaliśmy się o tym zbyt gruntownie, aby dać się teraz łatwo złapać.

Trzeba stwierdzić, że ludzie szukają książek, które mogą im coś o życiu współczesnym powiedzieć. Jedni czytają Saganek, drudzy odkładają ją z niechęcią i mówią, że to już też było. Mogę stwierdzić, że w bibliotekach poszukiwany

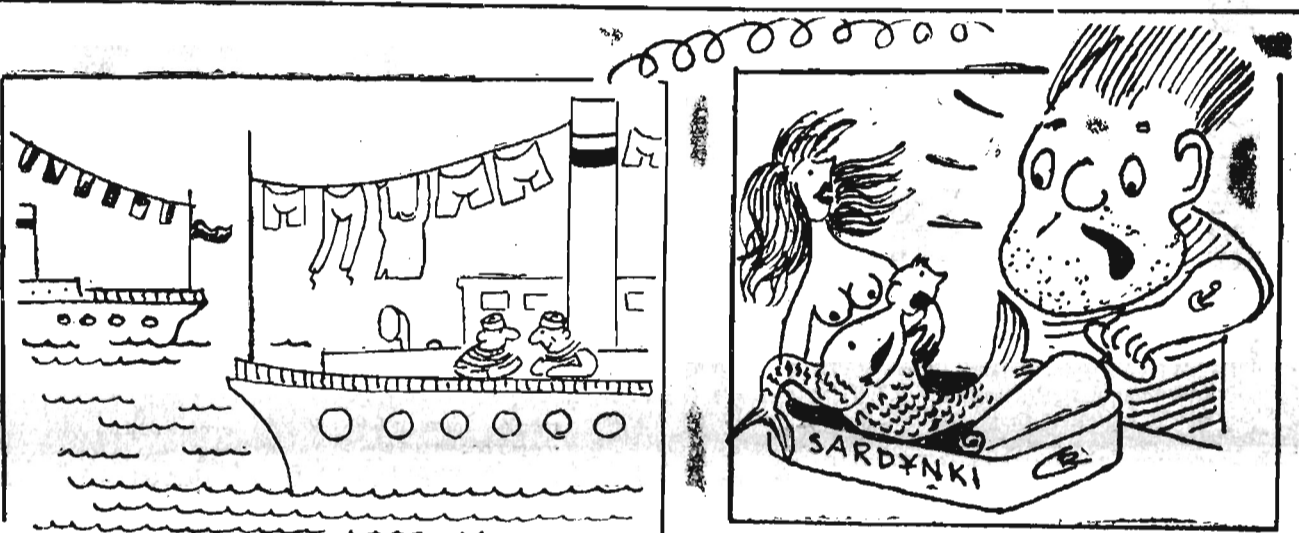
jest ciągle „Czas życia i czas śmierci” Remarque’a. W Bibliotece Miejskiej w Rzeszowie byłem niedawno świadkiem, jak czytelnicy żądali „Opowieści o prawdziwym człowieku” i „Jak hartowała się stal”.

Żyjemy w przełomowych czasach. W tych czasach prawie każdy szuka miejsca dla siebie. Szuka tego miejsca rozmaitymi, dostępnymi drogami. W tych zmaganiach prawdziwie wielka literatura współczesna stanowiłaby ogromną pomoc. Wierzę, że taka literatura piękna się rodzi, ale — niestety — jeszcze jej nie ma. Wszystko co czytamy zazwyczaj mało mówi o psychice człowieka budującego socjalizm i to w walce z ujawnionymi wypaczeniami.

Nieposób nie zgodzić się z Camusem, który oświadcza: „Sztuka nie dlatego jest wielka, że jest rewolucyjna, ale jest rewolucyjna nieuchronnie, kiedy jest wielka”. Potrzeba nam nowej, wielkiej literatury, która by tym samym była rzeczywicie rewolucyjna. Ale czego kać, nie wolno próżnować.

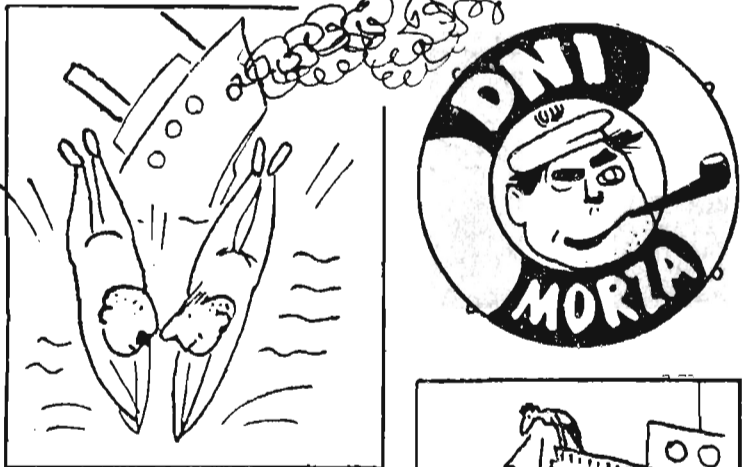
Staralem się wykazać, że wielu czytelników właśnie nie próżnuje. Wszystko zależy od twórców. Oby nie próżnowały nasze wydawnictwa, w których — jak słychać — czynione są coraz większe oszczędności. Praca bibliotek ściśle zależy od tego, jakie książki są do nabycia na rynku. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że po ważna część społeczeństwa spragniona jest książek, które by były naprawdę w pełni książkami n a s z y c h czasów

JERZY MIRECKI



• Czy jesteś pewien, że wszystko dobrze oflagowałeś ?

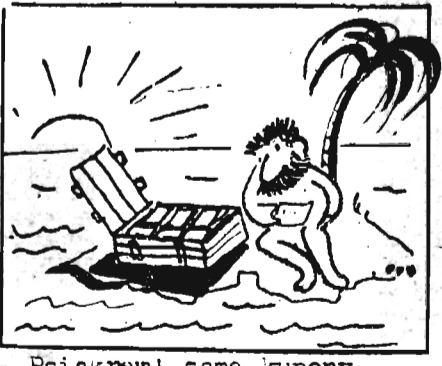
• My już poznaliśmy się gdzieś, prawda ?



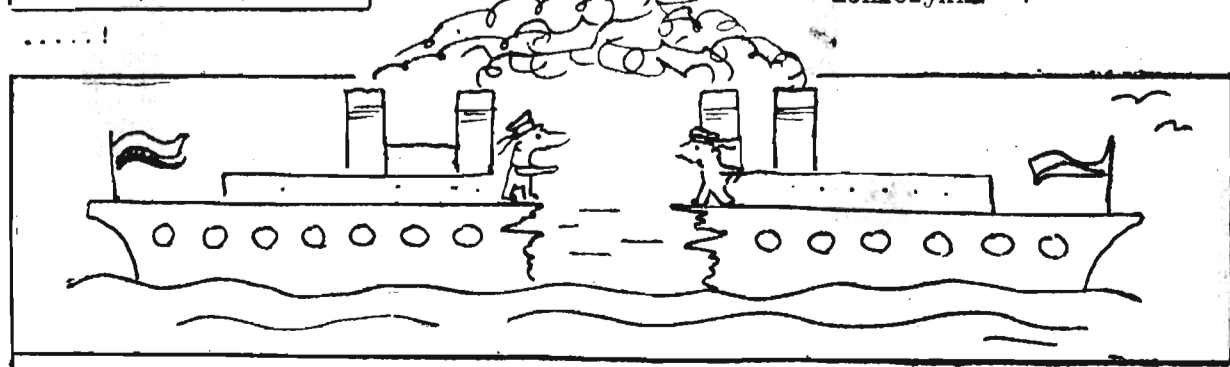
...i dalej pan twierdzi, że on miał 3 bez atu ?



- Przepraszam, daleko do portu ?



- Psiakrew! same kupony "Koniczynki" !



• Mówiłem ci idioto, "cała" naprzod a nie w tył !